STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856
Nr 07/2012
81

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE



W numerze

EPOKA ŻELAZA W EUROPIE

Michał Tadeusz K o z e r a

W poprzednim odcinku dotarliśmy z opisem do IV wieku naszej ery w Europie. Czas na ciąg dalszy. Zatem: – część IV

HUNOWIE

Na początek będę posiłkował się tekstem Lubomira Czupkiewicza „Najdawniejsze siedziby Słowian", który ukazał się w miesięczniku popularnonaukowym „Problemy" - nr 2 z lutego 1989 roku. Mimo upływu czasu nie stracił on nic na aktualności.

Jako najstarsze, znane siedziby Słowian wskazał on obszar położony miedzy rzeką Wołgą, rzeką Kamą i rzeką Ural. Przypomniał przy tym wzmiankę historyka greckiego Klaudiusza Ptolemeusza (100-168), który w *„Zarysie geografii"* umiejscowił we wspomnianym tu miejscu plemię o nazwie *Suowenoi*. L. Czupkiewicz wytłumaczył w swoim tekście, że nazwę tę należy tłumaczyć jako *Słowianie* (szczegóły w opracowaniu tego autora).

Autor ten wskazał również, że Słowianie do tego obszaru przywędrowali najprawdopodobniej ze stepów północnego Kazachstanu, gdzieś na przełomie III i II stulecia p.n.e. Powodem mogła być wielka klęska suszy, która nawiedziła Azję w tym okresie. Z badań naukowców wynika, że tego typu zjawisko zdarzało się średnio co 660 lat. Susza mogłaby być zatem odpowiedzialna za wszelkie ruchy migracyjne z Azji do Europy, które starałem się opisać we wcześniejszych częściach tego tekstu.

Na rysunku nr 6 pokazałem jedną z takich hipotez – mówiąc nieskromnie – moją własną. Sugeruję, że powodem wędrówki Słowian spod gór Tien szan mógł być atak wojsk Aleksandra Macedońskiego. Penetrowały one rozległe terytorium Persji w latach trzydziestych IV wieku p.n.e. Możliwe, że Słowianie byli plemieniem, które nie chciało podporządkować się nowym najeźdźcom i ich nowym prawom. Zatem postanowili wyruszyć w daleką drogę.

Moim zdaniem nasi, polscy archeolodzy powinni kiedyś spróbować odnaleźć nasze najstarsze siedziby. Może to udać się albo metodą systematycznych wykopalisk albo stanie się przez zwykły przypadek. Szczególnie, że azjatyckie tereny były świadkiem wielu przemieszczeń różnych ludów. I do tego o bardzo podobnej specyfice kulturowej.

<<< >>>

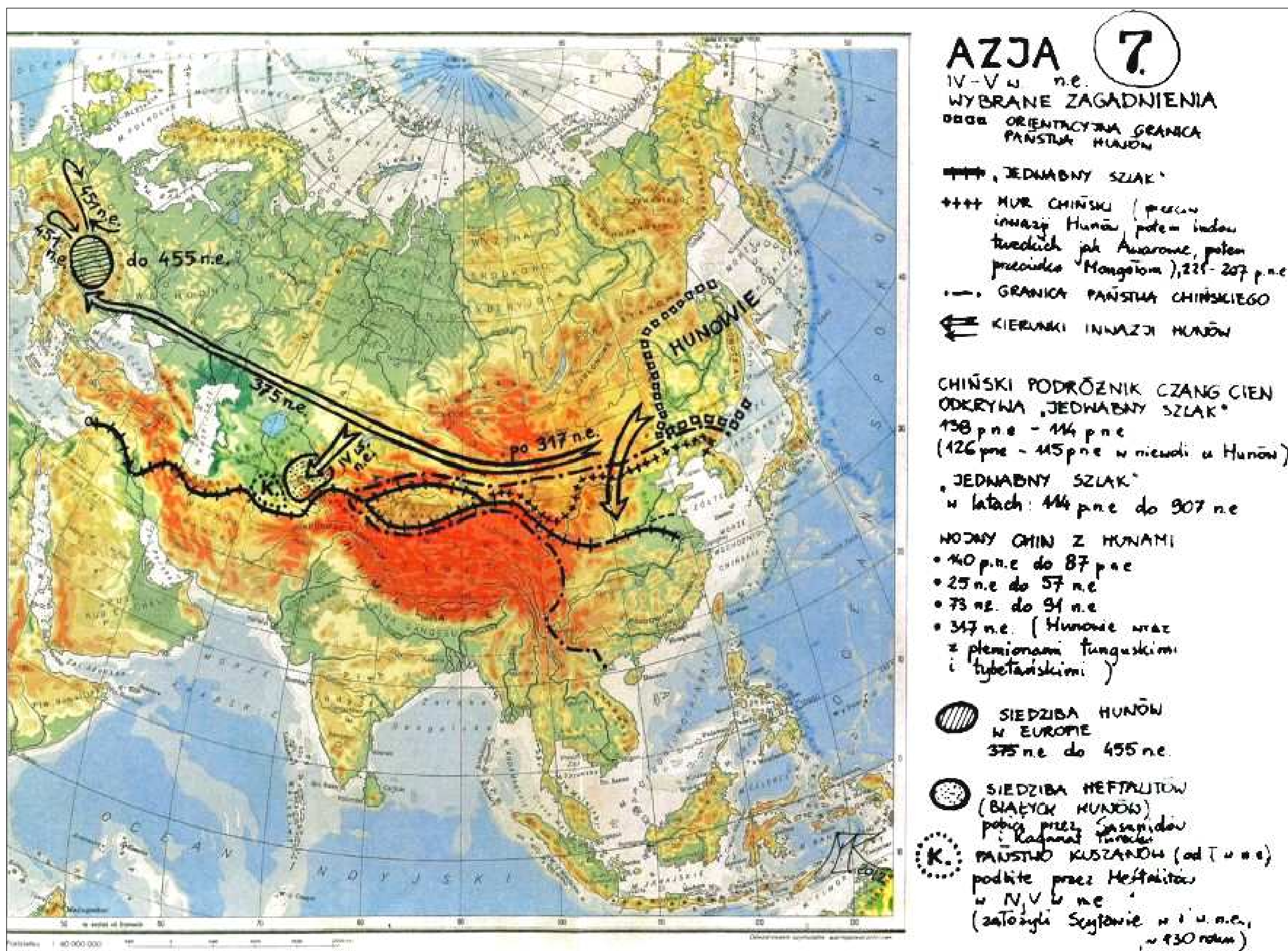
W 375 roku n.e. do Europy przywędrowali Hunowie. Ostatecznie osiedli nad dolnym i środkowym Dunajem. Tu utworzyli silne państwo nastawione głównie na ataki grabieżcze na sąsiednie zespoły osadnicze. Ich kariera zakończyła się jednak z chwilą śmierci ostatniego, wielkiego przywódcy: Attyli – w 453 roku. Samo plemię zniknęło dwa lata później.

Skąd wzięli się Hunowie?

Jego dzieje znamy głównie dzięki chińskim tekstom pisanym. I tylko dlatego, że prowadzili z Chinami częste wojny dając się Chińczykom nieraz we znaki.

Był to lud koczowniczy. Ich najstarsze, znane siedziby lokalizuje się w dorzeczu dolnego i środkowego Amuru, pomiędzy Górami Stanowymi i Jabłonowymi a Morzem Japońskim i Ochockim (patrz rys. nr 7), Stąd prowadzili łupieżcze wyprawy do Chin.

Znamy kilka takich wypraw. Trwały one – z przerwami – od 140 roku p.n.e. do 317 roku n.e. Ostatecznie Chiny wygrały, a Hunowie musieli ruszyć na zachód. W poszukiwaniu łatwiejszego łupu.



Jedna z grup dotarła nad Morze Aralskie, gdzie od pewnego czasu mieszkali Kuszanie (zapewne część plemion scytyjskich, jak sugerują archeolodzy). Nazywano ich Białymi Hunami lub Heftaelitami.

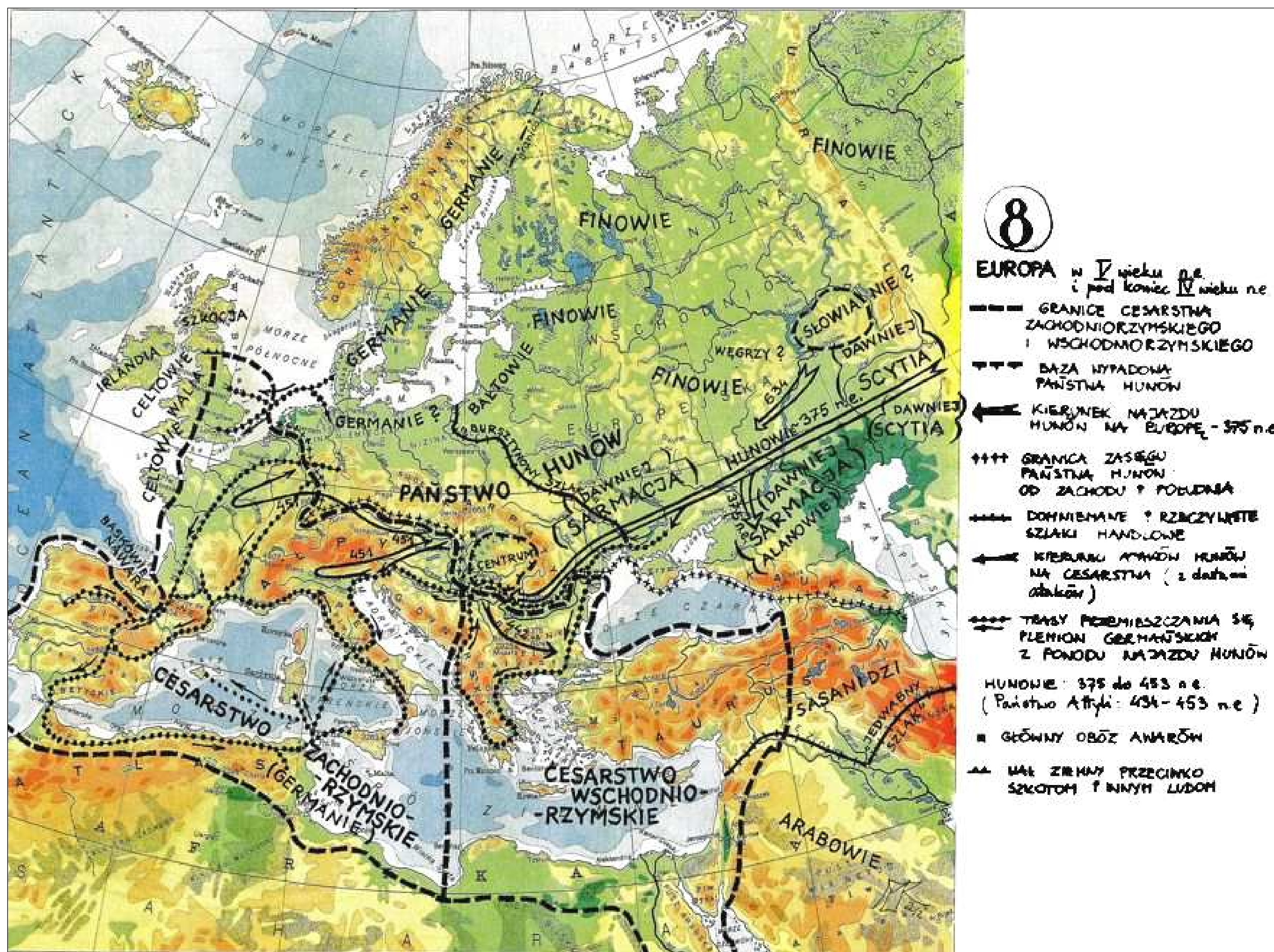
Druga grupa powędrowała dalej na zachód. Nad Morze Kaspijskie dotarła około 375 roku n.e.. Ostatecznie osiedlili się nad środkowym Dunajem i nad środkową Cisą. Założyli tam państwo w latach 442-447. Kiedy ich potęga nadmiernie wzrosła, rozpoczęli łupieżcze wyprawy po Europie. Między innymi – w 452 roku – zaatakowali ludność zamieszkującą dorzecze rzeki Pad. Podobno dotarli nawet do Rzymu. W 451 roku n.e. wyruszyli wzdłuż Dunaju na zachód docierając nawet do dzisiejszego Paryża. Były to wówczas tereny Cesarstwa Zachodniorzymskiego.

Archeolodzy podejrzewają, że niektóre ludy w Europie pomagały im w tych wyprawach. Między innymi nacje osiadłe na obecnych ziemiach polskich (jakaś mieszanka Celtów z Germanami?). W końcu historia uczy, że lepiej być po stronie silniejszego niż pokonanego. Oczywiście, jeżeli prawidłowo ocenimy potencjalne siły obu stron pozostających w konflikcie, szczególnie w końcowym etapie walk.

Pomoc ta mogła być również koniecznością. Historycy sugerują, że nasze obecne ziemie znalazły się pod panowaniem Hunów, a Germanie wywędrowali na północny brzeg Morza Bałtyckiego ustępując im pola. Druga podgrupa z tych terenów poszła na zachód i przez Francję i Hiszpanię dotarła do Afryki Północnej.

Najazd Hunów doprowadził również do przesunięć wśród ludów germańskich.

Jedna grupa plemion germańskich wyruszyła z rejonu miasta Kolonii przekraczając ówczesną granicę na rzece Ren. Przy okazji zniszczyła trzy legiony rzymskie to stało się podstawą do upadku Cesarstwa Rzymskiego (około $^1/_4$ wszystkich sił zbrojnych Rzymu). Potem powędrowała przez centralną Francję do Hiszpanii (409) i dalej przez Cieśninę Gibraltarską do Afryki. Tam maszerując wzdłuż wybrzeży dzisiejszego Maroka (429 rok) dotarła do dzisiejszego Tunisu (430 rok). Stąd podjęła wyprawę na Baleary, na Sardynię, Korsykę i na Sycylię oraz do



Rzymu (455 rok).

Między Morzem Czarnym a Morzem Kaspijskim pozostało tylko plemię Alanów, które atak Hunów musiał ominąć lub nie sprawił im zbyt dużej krzywdy.

Druga grupa opuściła ziemie miedzy dolnym Dunajem a Krymem i wkroczyła na ziemie Bizancjum w 395 roku. Potem przewędrowała wzdłuż rzeki Sawy (401 rok), półwyspem Apenińskim (411 rok) aż po Sycylię. Następnie powędrowała wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego, koło Marsylii (412 rok), koło Barcelony (415 rok), centralną Hiszpanię docierając przez przełęcz w Pirenejach do rzeki Garonny.

Tu należy podać interesującą ciekawostkę, która będzie miała znaczenie przy dalszych analizach, w kolejnych częściach tekstu. Wśród plemion – wędrujących znad rzeki Boh i Bug na zachód Europy – znalazło się germańskie plemię Wenedów. Szło ono trasą wzdłuż Morza Egejskiego, Morza Jońskiego i potem wzdłuż rzeki Sawy do dorzecza rzeki Pad. Tam założyło nową kolonię pod nazwą Venedig. To teren dzisiejszej Wenecji, której nazwa pochodzi najprawdopodobniej od tego germańskiego plemienia. Kolonia ta była przypuszczalnie zaatakowana przez Hunów w 451 roku. Należy podejrzewać, że część ludzi przeżyła. Wenecja to przecież miasto położone na licznych wyspach, zatem trudne do zdobycia. A może wcześniej osada była na stałym lądzie, a potem – po ataku Hunów – przeniosła się na wyspę?

Czekam na stanowisko archeologów w tej kwestii.

Po śmierci Attyli (453 rok n.e.) część Hunów asymilowała się z miejscową ludnością, a część przeniosła się nad dolną Wołgę i dolny Don.

Tym sposobem przetrwało tylko Bizancjum. Cesarstwo rzymskie przejęły liczne plemiona germańskie tworząc cały szereg mniejszych lub większych państewek. To z tych czasów pochodzą między innymi nazwy Anglii (od germańskiego plemienia Anglów), Brytani czy Bretanii (od plemienia Brytów), Francji (od plemienia Franków) czy inne.

To Germanie zdetronizowali ostatniego cesarza zachodniorzymskiego – w 476 roku.

cdn.

Skoro czytelnicy Quod Libet przełknęli rekonstrukcję odwachu z XIX wieku, to teraz czas na starsze dzieje Rynku. A dokładniej – spróbuję zrekonstruować obiekt stojący na rynku przed Hauptwache. To:

Ratusz przemyski

Michał Tadeusz Kozera

Tu rekonstrukcja nie była już taka prosta jak przy odwachu. Nie ma bowiem żadnych zdjęć z tamtych czasów (oczywiście żartuję – zdjęć jeszcze w ogóle nie znano). Są również problemy z malowanymi wizerunkami ratusza. Do naszych czasów zachowały się takie trzy, ale ich jakość pozostawia wiele do życzenia. Najstarszy to widok Przemyśla z dzieła J. Brauna (według innych Abrahama Hogenberga) z 1617 lub 1618 roku (data w zależności od wydania). Drugi to widok pokazujący między innymi ratusz – z połowy XVII wieku, który przede wszystkim jest portretem Imć Pawła Piaseckiego (ratusz namalowano w jego tle). Trzeci to widok ratusza na fresku z 1773 roku. Fresk ten znajduje się w prawej nawie kościoła OO. Franciszkanów w Przemyślu. Chociaż i ten przedstawia ratusz w tle innego ważnego wydarzenia z dziejów zakonu.

Wszystkie te trzy wizerunki zebrałem na jednym zbiorczym rysunku.

Kiedy popatrzymy na wszystkie trzy, to łatwo zauważymy ich liczne niedokładności i nieścisłości. Trudno się jednak temu dziwić.

Pierwszy powstał jako miedzioryt wykonany w niemieckim mieście Kolonia. Autor miedziorytu zapewne ratusza nie widział, a rysunek wykonał na podstawie jakiegoś opisu osoby zaufanej. Lub niedokładnego szkicu. Poza tym swoje prawa ma także sama zasada wykonywania miedziorytu. Technika ta nie pozwala na zbyt wiele detali. Szczególnie jak rysunek jest stosunkowo nieduży. Poza tym cały wizerunek miasta zawiera sporo błędów w innych miejscach (chociażby umocnienia miejskie, wizerunki niektórych kościołów, synagog itp.).

Drugi wizerunek ratusza to – jak już wspomniałem wcześniej – tło portretu. Zatem autor dzieła raczej starał się prawidłowo przedstawić osobę na obrazie, a nie jakiś tam element architektury z jego tła. Nie wiadomo także, czy za wizerunek do obrazu nie posłużył mu widok z początku XVII wieku, z dzieła J. Brauna (A. Hogenberga)?

Trzeci wizerunek ratusza jest najdokładniejszy. Autor mógł przecież w czasie malowania wychodzić na Rynek dla sprawdzenia detali rysunku (o ile ratusz jeszcze tam stał). Wszak kościół OO. Franciszkanów stoi przy narożniku tegoż Rynku. Problem jest jednak taki, że fresk powstał w 1773 roku. Zatem ratusz mógł już od czasu powstania ulec jakimś przebudowom (od czasu budowy minęło przecież około 150 lat!!). Zmiany mogły także spowodować jakieś pożary czy najazdy różnych, obcych wojsk. Przypomnijmy chociażby słynnych Szwedów, którzy w połowie XVII wieku zniszczyli prawie całą ówczesną Rzeczpospolitą Polską. To oni wywozili wszystko, co było cenne. Głównie galerami, rzeką Wisłą. Jedną taką galerę (która nie dotarła do celu) ostatnio odnaleźli archeolodzy na dnie Wisły koło Warszawy. Nie gardzili nawet piecami kaflowymi czy drewnianymi stropami. Nie wspominając o rzeczach typu meble, obrazy, naczynia, sztućce czy inne.

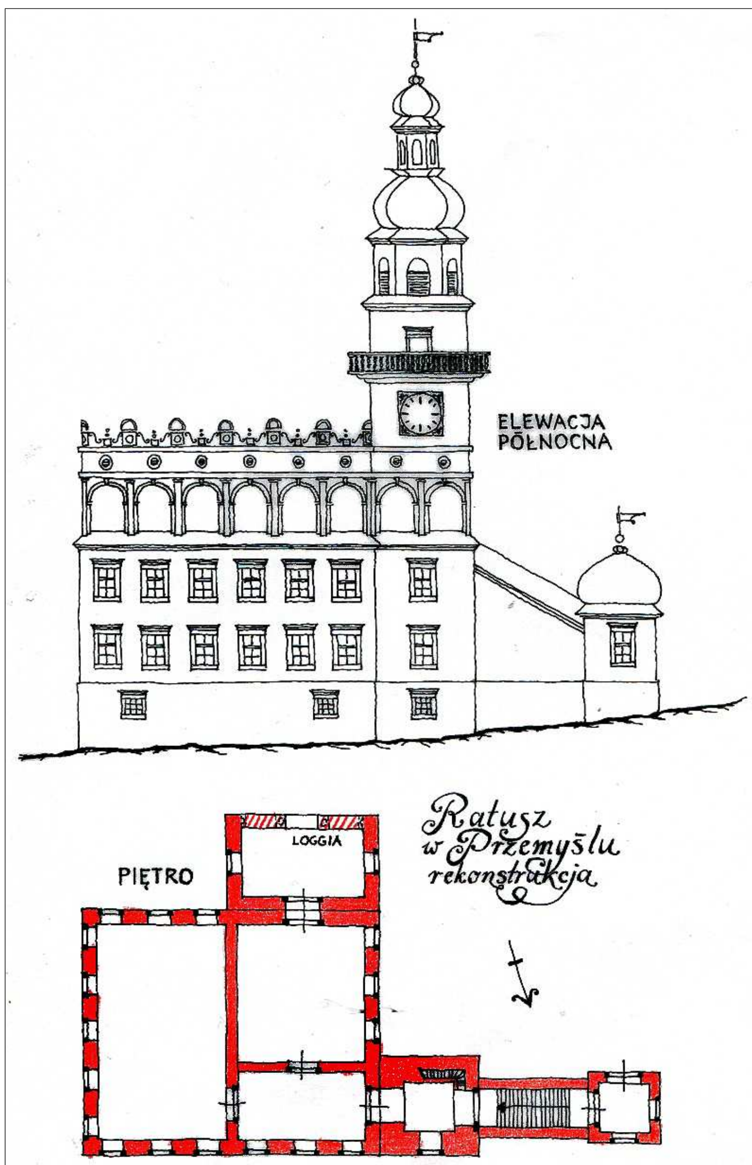
Zatem ten rysunek zbiorczy zaopatrzyłem w krótkie komentarze. Próbowałem przełożyć namalowane lub wyryte elementy na wizerunkach na rzeczywiste detale architektoniczne. Jest to co prawda obarczone niewielkim prawdopodobieństwem prawdy, ale od czegoś trzeba zacząć.

Na wszystkich trzech wizerunkach jest kilka elementów wspólnych. Budynek ma kształt prostokąta o układzie pięć na sześć osi okiennych. Ma on dwie kondygnacje nadziemne i wysoką attykę. Ta ostatnia składa się z trzech elementów. Dołem są wnęki zakończone półkoliście. Na najstarszym wizerunku zasugerowano, że wypełniały je jakieś malowidła, najpewniej postaci. Środkowy element to pas dekoracyjny o niejasnym wypełnieniu – elementy poziome lub jakieś kółka (okienka?). Górą biegnie fryz dekoracyjny, który na każdym z rysunków ma inną formę. Wygląda jak szereg dekoracyjnych detali o trudnym do rozstrzygnięcia wyglądzie. Raz są zakończone kulami, a raz elementami trójkątnymi.

Kondygnacje użytkowe mają okna z obramieniami kamiennymi i sześciopolową stolarką (nie znano okien stalowych, ani aluminiowych ani tym bardziej plastikowych). Są także jakieś kamienne obramienia drzwi zakończone górą półkoliście.

Budynek posiada także piwnice z osobnymi wejściami od zewnątrz.

Do tej prostokątnej bryły są dostawione dwa elementy. Przy jednym narożniku stoi coś na kształt loggi dwukondygnacyjnej, z attyką na szczycie. Natomiast przy innym rogu widzimy wieżę. Na wszystkich rysunkach historycznych ma podobny kształt. Zatem możemy uznać ją za odwzorowaną przez rytowników lub malarzy dość poprawnie. Ma ona trzy kondygnacje licząc od poziomu górnej dekoracji attyki. Czyli w zasadzie ma sześć kondygnacji (z piwnicami). Do tego dochodzą dwa dachy w formie baniastej – z sześcioboczną sygnaturką między nimi. Nad czwartą kondygnacją jest ganek, który dodatkowo obiega wieżę dookoła.



Na jednym z rysunków (dokładnie na fresku z 1773 roku) mamy jeszcze maleńką wieżyczkę z przylegającym do niej skośnym daszkiem. Jest to typowy element budowli osobnego wejścia na piętro ratusza. Nie wiemy tylko czy było ono dostawione do jednej z elewacji czy było wybudowane prostopadle do niej. Rysunek sugeruje drugą alternatywę, ale pamiętajmy o sposobie wykonania rysunku. Autorowi mogło zależeć na pokazaniu jak najwięcej detali ratusza, a to mogła zmobilizować go do przeinaczenia rysunku. Przecież na fresku z 1773 roku są pokazane dwie elewacje w rozwinięciu (a nie w perspektywie). Do pełni szczęścia dodajmy, że pokazany w oknie *loggi* jegomość może być autorem tego fresku. Taki ukłon w kierunku własnego *ego*.

Do ostatecznej rekonstrukcji ratusza potrzebne były zatem jeszcze inne elementy.

Część danych znalazłem w książce *„Tysiąc lat Przemyśla"*, wydanej przez KAW w Rzeszowie w 1976 roku (autor zbiorowy). Najcenniejsze dane zebrał Józef Tomasz Frazik penetrując archiwa miejskie.

Z jego danych wynika, że murowany ratusz powstał w latach 1557-63, a prace wykończeniowe trwały jeszcze do 1568 roku. Wiemy również, że wcześniej na Rynku stał ratusz drewniany. Został on rozebrany po wybudowaniu nowego. Zatem należy podejrzewać, że ten starszy stał w północnej części Rynku (o ile stary nie został rozebrany przed budową nowego – sądzę, że przydałyby się nowe analizy dokumentów budowy).

Do budowy nowego ratusza użyto kamienia i cegieł. Zatem należy przypuszczać, że piwnica wraz ze sklepieniami była wykonana z kamienia (najprawdopodobniej wapiennego), a wyższe kondygnacje z cegieł. Przy czym w części ceglanej narożniki wykonano także z kamienia i podobnie obramienia okien i drzwi. Może z kamienia wykonano jakieś inne detale wewnątrz budowli – jak kominki czy stopnie schodów, nie zapominając o niektórych detalach attyk czy balustrad.

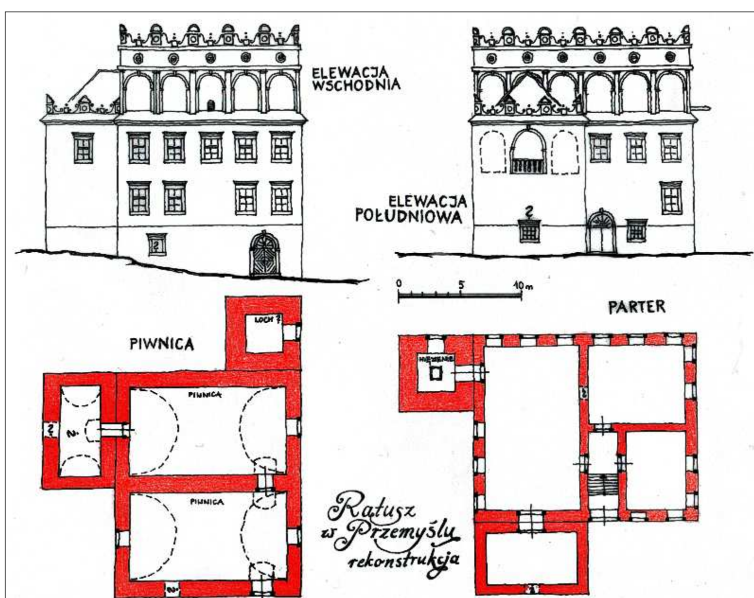
Więźba dachowa była drewniana. Pokrycie wykonano albo z blachy albo z ceramicznych dachówek.

Autorem projektu był murator Andrzej Peregryn Bononi, Włoch z pochodzenia.

Józef Tomasz Frazik znalazł również szereg interesujących informacji opisujących budowany obiekt. Wieża była zakończona hełmem nieznanego kształtu, zamontowano także zegar, oszklono okna, wykonano okiennice, stawiano piece kaflowe (trudno dzisiaj jednoznacznie wskazać ich lokalizację ze względu na brak informacji o kominach), obijano płótnem ściany. W piwnicy pod kuchnią wykonano sklepienie.

Na przełomie 1576 i 1577 roku (jak podaje J. T. Frazik) muratorzy i cieśla dostawili do elewacji wejściowej małą wieżyczkę i zewnętrzne schody na piętro. Prace nadal nadzorował A. P. Bononi.

Jeszcze w XVI wieku ratusz doczekał się przebudowy. W 1598 roku rozebrano górną część starej wieży ratuszowej i podwyższono ją wykonując nowy



hełm (tak zwaną „*banię*”). W 1600 roku wykonano nową, zewnętrzną klatkę schodową i nową wieżyczkę. Zachodzi również prawdopodobieństwo wykonania w tym czasie attyki i sgraffita (sprawę jednoznacznej odpowiedzi na ten problem utrudnia brak rachunków z 1599 i 1601 roku). Albowiem powstanie takich detali architektonicznych, w tym okresie, sugerują inne ratusze z terenu Małopolski, które istnieją do dzisiaj. Wspomnijmy tu Sandomierz czy Tarnów.

Z kolei w 1602 roku wymurowano – zapewne w sąsiedztwie ratusza – szmatruz (nazwa pochodzi od „*szmaty*” – czyli było to miejsce handlu płótnem), który był ozdobiony sgraffitami. Część z nich przedstawiała wyobrażenia polskich królów i książąt. Chociaż osobiście podejrzewam, że *szmatruz* był w rzeczywistości częścią ratusza (zapewne w poziomie piwnic, a przynajmniej składem materiałów – w tym płótna). Ale to domniemanie wymaga potwierdzenia lub zaprzeczenia po kolejnych badaniach archeologicznych.

Można powiedzieć, że na początku XVII wieku ratusz przemyski był klasycznym przykładem manieryzmu – stylu przejściowego w architekturze: pomiędzy renesansem a barokiem. Przy czym zachowane widoki pokazują go właśnie z okresu po przebudowie, która miała miejsce w latach 1598 a 1602. Wcześniejszej fazy nie da się praktycznie już odtworzyć, bo brak jest materiałów ikonograficznych. Nie sądzę również, aby badania archeologiczne lub architektoniczne wniosły w tej sprawie jakieś zmiany. Chyba, że zachowały się jakieś detale pod ziemią?

Ciekawych informacji dostarczyły również zachowane do dzisiaj ratusze z tego okresu – chociażby wspomniane już ratusze w Tarnowie czy Sandomierzu. Szczególnie ten ostatni wydaje się najbardziej podobny do przemyskiego. Przynajmniej jeśli chodzi o układ architektoniczny poszczególnych elementów (jest wyraźnie mniejszy – krótsza elewacja ma tylko dwie osie okien).

* * *

Zatem podsumujmy. Chociaż nie będzie to łatwe ze względu na fragmentaryczność danych i brak pełnych danych archeologicznych (były co prawda przeprowadzone wstępne badania przez Andrzeja Koperskiego, ale badań architektonicznych w 1974 roku nie przeprowadzono – chociaż pierwsze tego typu prace prowadzono już dla Krakowa od 1970 roku). Szczególnie, że rachunki miejskie sugerują powstanie pierwszego ratusza w latach 1557-68 i jego przebudowę już na początku XVII wieku (w latach 1598-1602).

Dlatego rekonstrukcję ratusza nazywam hipotetyczną. Przy czym możliwą tylko dla okresu jego przebudowy – na przełomie XVI i XVII wieku. Bo istniejące wizerunki ratusza pokazują najpewniej jego wygląd właśnie po tym okresie. Przypomnijmy, że pierwszy wizerunek tego budynku mamy z dzieła J. Brauna z 1617-18 roku. I chociaż jest to wizerunek schematyczny i mało precyzyjny – na co zwrócił już wcześniej uwagę chociażby architekt i historyk sztuki Józef Tomasz Frazik – to przecież musimy na czymś oprzeć się w dalszych analizach architektoniczno-historycznych.

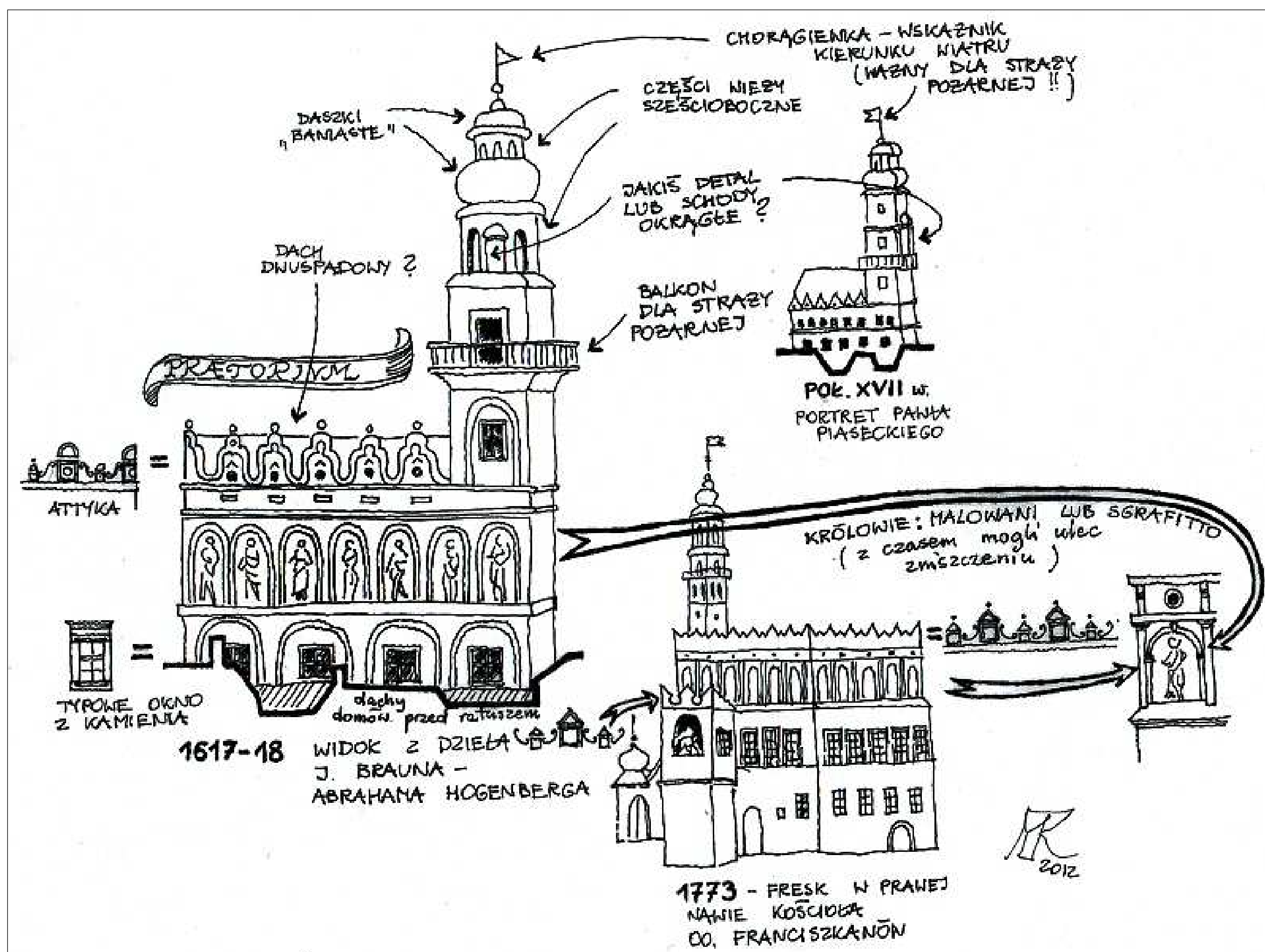
Ostatecznie przygotowałem kilka rysunków pokazujących rzuty poszczególnych kondygnacji i niektóre z elewacji. Tym bardziej, że bardziej szczegółowe analizy nie są konieczne w tekście popularno naukowym (co musiałem w tym miejscu zaznaczyć, bo już raz wzięto moje opracowanie popularno-naukowe za naukowe, gdyż autorowi krytyki nie chciało się zajrzeć do właściwych materiałów).

Piwnice zostały wykonane z kamienia. Były to najprawdopodobniej dwie komory ze sklepieniami w formie kolebki. Wszystko było wykonane z kamienia – przypuszczalnie wapienia.

Tam zapewne były składy kupieckie wynajmowane przez władze miasta. Nie jest jednak jasne czy obok wybudowano jeszcze jeden budynek – tak zwany szmatruz. Przydałyby się badania archeologiczno-architektoniczne. Dodatkowo narysowałem jeszcze piwnicę pod loggią, ale jej istnienie jest raczej mało prawdopodobne. Tu była bowiem nawierzchnia Rynku wyżej niż przy północnej elewacji. Projektant A. P. Bononi mógł pozostawić to miejsce niepodpiwniczone. Natomiast w wieży przy ratuszu na tej kondygnacji zwykle znajdował się loch więzienny dostępny przez otwór w stropie. Dlatego przyjąłem tu podobne rozwiązanie.

Parter to najprawdopodobniej zestaw czterech pomieszczeń. Przy wejściu musiał mieścić się pokój straży miejskiej. Obok mogło mieścić się pomieszczenie dla strażaków, którzy byli zobligowani do obserwowania okolicy z ganku położonego na czwartej kondygnacji wieży. W wypadku stwierdzenia pożaru powinni zawiadomić całe miasto o zaistniałym fakcie i zawezwać wszystkich do pomocy przy gaszeniu (nie było wtedy jeszcze zawodowej straży pożarnej). Na pewno służył do tego celu dzwon umieszczony w jednym z najwyższych pięter wieży (a może nawet kilka dzwonów?). Może – podobnie jak chociażby w Krakowie – „na etacie” był zatrudniony jakiś trębacz?

Największe z pomieszczeń było najprawdopodobniej salą sądowniczą. Tu zapadały wyroki w różnych, najczęściej drobnych, sprawach. Dwa sąsiadujące z nią pomieszczenia spełniały przypuszczalnie rolę więzień. Przy czym w wieży było cięższe, długoterminowe. Natomiast pod loggią właściwą (na piętrze) był zwykły areszt dla sprawców drobnych przestępstw. Wyroki z kolei były wykonywane zwykle na Rynku. Najbardziej znaną karą była kara chłosty, którą wykonywano przy pręgierzu (ciekawe czy gdzieś ten słup zachował się do naszych czasów?). Stosowano również karę „klatki”. Tam zamykano delikwentów od drobnych przestępstw. Każdy mógł zapamiętać ich twarz, co zwykle zmuszało winowajcę do udania się w inne strony (dzisiaj przestępcom chroni się twarz, przez co czują się bardziej bezkarni). Były także na Rynku wykonywane inne kary – od obcięcia palców czy rąk (za kradzieże) aż po wyroki śmierci (za różne przestęp-



stwa, zwykle największe). Nie będę podawał wszystkich rodzajów kar, bo dzisiaj wydają się barbarzyńskie. A przecież były bardziej skuteczne od współcześnie stosowanych.

Piętro to pomieszczenia Rady Miejskiej. Miały one osobne wejście – przez wieżę, schody zewnętrzne i drugą, małą wieżyczkę.

Jedna z sal pełniła najprawdopodobniej rolę sali obrad (ta największa). Tu podejmowano decyzje podobnie jak czynią to radni dzisiaj. Druga sala była pomieszczeniem administracyjnym. Wszystkie akty trzeba było przecież gdzieś przygotować. A wtedy wszystko pisano ręcznie. I do tego piórem gęsim odpowiednio zaostrzonym (pierwsze, proste stalówki to dopiero II połowa XIX wieku, pióra to początek XX wieku, a długopisy to lata sześćdziesiąte XX wieku – dla przypomnienia). Nie znano także maszyn do pisania (dopiero od XIX wieku) czy komputerów (zastosowano w latach dziewięćdziesiątych XX wieku). Tu także zapewne spisywano ważne akty dotyczące poszczególnych ludzi czy rodzin – jak chociażby akty urodzenia, ślubu, testamenty i tak dalej. O ile dokumenty te nie powstawały piętro niżej, w części sądowniczej (szczególnie jeżeli był przysłowiowy spór „o miedzę”). Biurokracja to nie wynalazek XX czy XXI wieku. Znana była już w starożytności.

Przy jednym z pomieszczeń była jeszcze loggia. Na widoku z XVIII wieku ma jeden otwór zakończony półkolem. Widać w nim człowieka w czapce z piórem – zapewne autora tego fresku (taki żart artysty). Należy jednak podejrzewać, że mógł tu pierwotnie być potrójny łuk, wsparty na dwóch słupach-kolumnach.

Loggia to wynalazek włoski, gdzie w wielu miastach można ją spotkać nawet jeszcze dzisiaj. Tu zapewne ogłaszano ważniejsze informacje dla mieszkańców – zapewne w południe. Tu także mogli przebywać „oficjele” podczas ważnych uroczystości w mieście. Oczywiście stosownie ubrani w togi, z łańcuchami na szyjach. Obserwowali stamtąd wydarzenia czy przemarsze wojsk. Zapewne osoby dostające stosowne zaproszenie do loggi byli tym samym także nobilitowani wśród mieszkańców.

Attyka była trójpoziomowa. Przy czym jej powstanie należy datować na przełom XVI i XVII wieku (podobnie jak w innych miastach polskich). Wcześniej mógł tu być zwykły dach dwu lub czterospadowy. Nie znamy pokrycia, ale mógł to być gont lub ceramiczna dachówka. Po wykonaniu attyki zapewne dach zmienił się na pogrążony, z którego woda wypływała na zewnątrz tak zwanym „rzygaczem” (patrz elewacja południowa). Chociaż znane są przypadki utrzymania dalej dachu zwykłego, kilkuspadowego.

Dolna część attyki to wnęki półkoliście zakończone. Tu pierwotnie wykonano malowidła lub sgraffita przedstawiające królów polskich i książąt (a może także inne, znane postacie?). Środkowa część to wąski, poziomy pasek z jakąś dekoracją. Zachowane rysunki nie dają jednoznacznej odpowiedzi co do jego wypeł-

nienia czy kształtu detali. Podobnie niejasna jest sprawa zwieńczenia. Przedstawiłem wersję najbardziej prawdopodobną, nawiązującą do zachowanych wizerunków ratusza jak do istniejących detali – dla przykładu w ratuszu sandomierskim.

Wieża góruje nad całością założenia.

Pierwszy poziom nad attyką zajmował zegar znany z rachunków miejskich (a nie pokazany na żadnym wizerunku ratusza – czyżby szybko został wyeliminowany jako zbyt kosztowny w utrzymaniu?).

Kolejny poziom jest wyposażony w ganek z balustradą – kamienną lub drewnianą, wsparty na kamiennych podporach. Ganek ten służył do obserwowania okolicy. A to w celu wyłapania ewentualnego pożaru (przypominam, że Przemyśl był wówczas dużo mniejszy i mieścił się w obrębie murów obronnych miasta), a to w celu zaobserwowania najazdu nieprzyjacielskich wojsk – szczególnie od wschodu. A to Tatarów czy Wołochów, czy Węgrów, czy Mongołów, czy jeszcze innych.

Kolejna kondygnacja wieży zawierała dzwon. Zwykle „odzywał się” na trwogę (pożar, obcy najeźdźcy), w wypadku ważnego wydarzenia (urodziny, ślub, pogrzeb czy inne). Potem są dwa poziomy „baniastych” hełmów z sygnaturką pośrodku. Tu także mógł mieścić się mniejszy dzwon – tym razem do oznajmiania spraw bardziej lokalnych. Pamiętajmy, ze pełne godziny mogły także być oznajmiane dźwiękiem dzwonu.

Wieża była dołem wykonana z kamienia, wyżej z cegieł, a w górnej partii z drewna i blachy ołowianej (pokrycie hełmów). Pamiętajmy, że dzwony to specjalność Przemyśla do dzisiaj. Mają nawet specjalną salę muzealną temu poświęconą.

Na zakończenie przypomnijmy, że na samym szczycie wieży była „wiatrownica”. Był to ruchomy element pokazujący aktualny kierunek wiatru. Ważny szczególnie po zaobserwowaniu pożaru w mieście (zagrożenie rozprzestrzeniania się ognia). Na tym elemencie zwykle była wybita – przez kowala – data. Budowy danego budynku. A Może nawet herb miasta?

Detale zewnętrzne to cały szereg elementów dekoracyjnych. Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na obramienia okien i drzwi. Zwykle były wykonane z wapienia (II połowa XVI wieku) lub z wapienia pińczowskiego (początek XVII wieku). Były to elementy typowe, bogato rzeźbione. Łatwe dzisiaj do odtworzenia, bo bardzo typowe. W drzwiach były na pewno drewniane drzwi z dekoracją klasyczną dla manieryzmu. Okna były także drewniane z zamontowanymi małymi szybkami (tak zwanymi okrągłymi „gomółkami” lub sześciokątnymi – każdy typ był oprawiony w ołów). Dodatkowo w oknach były zamontowane okiennice drewniane – zapewne dla dodatkowego bezpieczeństwa (szybki były bowiem z bardzo delikatnego szkła).W oknach piwnicznych dodatkowo montowano żelazne kraty przewlekane. Ich montaż odbywał się wraz z kamieniarką, zatem praktycznie były nie do wyłamania. Najwięcej detali rzeźbiarskich zawierała attyka. Nie znamy ich dokładnego wyglądu. Na rysunku przedstawiono wersję najbardziej prawdopodobną.

Wyposażenie wnętrz jest obecnie nieznane. Wiadomo tylko, że wszędzie stały piece kaflowe (z wyjątkiem więzień) o pięknej, bogatej ornamentyce. Albowiem w każdym okresie historycznym wzory pieców zmieniały się, chociaż dla danego okresu były one typowe. Zwykle w XVII wieku piece kaflowe były w kolorze zielonym i miały wzór dywanowy (kilka kafli tworzyło uzupełniający się wzór – przyp. M. K.). Bywały także wielokolorowe, ale nie każdy mógł sobie na nie pozwolić. Te ostatnie były dużo droższe (dzisiaj takie współczesne kafle także mają dużą cenę). Miały zwykle dwie lub trzy skrzynie przedzielone gzymsami. Od góry także były zwieńczone attyką. Tyle tylko, że także wykonaną z dekoracyjnych kafli. Jeżeli dobrze pamiętam, to na szczycie dekoracja bywała w orły heraldyczne (mniej więcej z tego okresu pochodzi piec zrekonstruowany w Muzeum Ziemi Przemyskiej na Rynku 9, w tylnej izbie –zainteresowanych zachęcam do obejrzenia).

W pomieszczeniach mogły również być ozdobne stropy drewniane. Najprostsze składały się z belek stosownie fazowanych. Bywały także stropy kasetonowe z dekoracyjnymi detalami w polach – na przykład w formie róż. Na ścianach montowano barwne materiały. Dla ich ocieplenia i nadania ciekawej dekoracji wnętrzu. Wspominają o tym rachunki miejskie. W niektórych kamienicach krakowskich zachowały się takie tkaniny. W wersji malowanej na ścianie. Może była to wersja dla uboższych mieszczan, ale dzięki tym malowidłom wiemy jak pierwotnie wyglądały.

Na koniec należy wskazać, że musiały stać we wnętrzach jakieś meble. Zapewne drewniane, ozdobnie rzeźbione. Stoły, krzesła. Przypomnijmy, że wtedy raczej nie stosowano szaf. Zastępowały je kufry pięknie malowane i zaopatrzone w stosowną liczbę zamknięć – zwykle kłódek. Kufry te miały także często tajne schowki. Ale o tym cicho sza.

Na tym zamkniemy hipotetyczną rekonstrukcję ratusza w Przemyślu. Przetrwał on gdzieś do końca XVIII lub początku XIX wieku. Nie znamy jednak dokładnej daty. Wiadomo tylko, że na jego miejscu postawiono – w 1812 roku – nowy „ratusz” czyli Hauptwache (po polsku odwach). Ale jego rekonstrukcję prezentowałem już we wcześniejszym numerze Quod Libet.

Może badania archeologiczne na Rynku pozwolą uchwycić inne elementy zagospodarowania – lokalizację pręgierza, klatki, czy miejsce straceń?

Ciekawe, czy będzie mi dane coś jeszcze czytelnikom opowiedzieć o zmianach zachodzących na Rynku? I to nie tylko za istnienia ratusza, ale także wcześniej. Przynajmniej od XIV wieku, kiedy założono Rynek z przyległymi działkami na prawie magdeburskim przez Władysława Jagiełłę – w 1389 roku.

Ale do tego konieczne są szczegółowe badania archeologiczne...

I architektoniczne...

Kraków, luty 2012 roku

Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

cd

Zabroniono nam robić jakąkolwiek dywersję aż do czasu wydania rozkazu, by nie drażnić Niemców, ponieważ to może nas zgubić. Pojedyncze rodziny polskie, tj. nauczycielstwo (z wiosek ukraińskich) ściągnięto do Jaworowa, gdzie zostali umieszczeni u Polaków. Stanisław Krasicki robił co mógł, by pomóc tym rodzinom. Organizowano zbiórki wśród Polaków, też w kościele. Zima, tj. grudzień i styczeń 1944 roku przeszła dość spokojnie. Broni i amunicji posiadamy tyle, że starczy dla każdego. Tymczasem młodzież ukraińska i ukraińscy rezerwiści znikają z miasta. Grupują się po większych wsiach, jak Rogożno, Porudno, Gnojnice, Wola Gnojnicka, Czernilawa i innych. Po paru dniach wracają z powrotem do swoich domów i tak ciągle. Zorientowaliśmy się, że Ukraińcy ćwiczą z bronią i należy spodziewać się napadów na mniejsze osiedla polskie. W tym czasie, ze względu na bezpieczeństwo, zmieniłem kurierkę i jest nią Bronisława Stelmach, nauczycielka z miejscowości, w której mieszkam z rodziną. Jest tu szkoła nowa, murowana, gdzie uczono tylko dzieci polskie, a pół kilometra dalej była również duża szkoła dla dzieci ukraińskich. Bronka często jeździła do swej matki we Lwowie, wobec czego nie zwracano na nią uwagi. W miesiącu lutym 1944 r., 4 km od samego miasta Jaworowa, kilku banderowców napada na budynek leśniczego Nowaka, który przeniósł się z leśniczówki do polskiej osady Nowiny koło Lipiny (sami Polacy). Banderowcy mordują jego żonę i dziecko. Leśniczy Nowak wyskoczył oknem, ostrzeliwując się z automatu. Zabił na pewno dwóch banderowców, a kilku ranił. Na strzały leśniczego banderowcy odpowiedzieli ogniem, jednak udało mu się zbiec do Jaworowa i powiadomić mego zastępcę „Zrywa". Ponieważ Nowiny są blisko Jaworowa, więc „Zryw" natychmiast organizuje pomoc dla tej osady – około dwudziestu ludzi pod dowództwem Mariana Adaszyńskiego – starszego wachmistrza rezerwy. Pomoc przyszła w porę, na przełaj polami. Banderowcy przystąpili już do likwidacji Nowin (11 gospodarstw), jednak w czasie walki, tak z napadniętymi, jak i z odsieczą, banderowcy wycofali się, tracąc kilku ludzi. Spodziewano się, że Niemcy po usłyszeniu strzałów przyjdą do Nowin, jednak to nie nastąpiło. Ludność, a przeważnie dzieci – wystraszone. Kazano mieszkańcom na razie wszystko zostawić i przenieść się do Jaworowa, gdzie zostaną rozmieszczeni u Polaków. W biały dzień banderowcy nie pokazywali się już. Ludność zabrała naprędce, co mogła, na wozy, a poza tym bydło. Resztę później, w asyście Niemców (za zapłatą). Obawiano się, że banderowcy mogą jeszcze napaść i wszystkich wymordować, a po drugie – obawiano się Niemców, że mogą zobaczyć polski oddział i aresztować ludzi. Przed Jaworowem członkowie oddziału pojedynczo rozeszli się, zaś mieszkańcy Nowin zostali rozmieszczeni po domach polskich. W tym samym dniu Niemcy na prośbę ludności dali jako eskortę kilkunastu żołnierzy i trzy samochody zaopatrzone w ckm, za co ludność dała Niemcom dwie świnie. Gdy eskorta z kilkoma ludźmi z wioski dojeżdżała do Nowin, to tamtejsze zabudowania płonęły. Niemcy otworzyli ogień z ckm na postrach, ale banderowców już nie zastano. Zdołano jeszcze coś uratować ze zboża i trzody chlewnej, którą to Niemcy sami pomagali wyciągać, a kilka sztuk zastrzelili. Do zagajników opodal wcale nie podchodzili a tylko wołali: Schnell, schnell[1] zabierać! Jak się później okazało, w płomieniach zginęło pięć osób. Zmasakrowane zwłoki Nowakowej i dziecka zdążono zabrać z płonącego już mieszkania na samochód. W tym samym dniu wysłałem kurierkę z meldunkiem o napadzie UPA i o spaleniu osady Nowiny. Również w tym samym dniu otrzymałem rozkaz, że należy natychmiast ściągnąć rodziny polskie z małych osad, przysiółków i kolonii do miasta oraz udzielić im pomocy. Ludzie bardzo chętnie pomagali. Stanisław Krasicki, jako prezes Polskiego Komitetu Opiekuńczego, robił co mógł. Zbierał datki w naturze i pieniężne dla biednych uciekinierów. W Jaworowie i całym powiecie ludność polska była przygnębiona i żyła w strachu.

W miesiącu marcu wójt Szczepanskyj przyszedł do nas na obiad (u nas jadał obiady – dawał dość dużo kartek żywnościowych II kategorii i żył ze mną w dobrej komitywie). Prosił,

[1] schnell *niem.* szybko

ażebym pojechał do niego do domu w Rogożnie, ponieważ jego zarodowa maciora nie może się oprosić. Wsiadłem razem z nim do jego bryczki i po przybyciu na miejsce udało mi się powyciągać prosiaki. Po zjedzeniu kolacji chciałem odjechać do Ożomli. Wójt Szczepanskyj cichaczem mi powiedział, że on mi nie radzi teraz wracać po ciemku, ponieważ jest niebezpiecznie; przenocuję i rano razem wrócimy do Ożomli. Od razu zrozumiałem, że jest niedobrze i poczułem lęk, że mogą mnie zamordować i żałowałem tego, że przyjechałem do niego. W nocy prawie nie spałem, każdy szmer dodawał mi strachu. Rano wsiadłem z wójtem do bryczki i pojechaliśmy do Ożomli. Na miejscu powiedział mi w sekrecie, ażebym wieczorem nie wybierał się do wiosek. To mi dało dużo do myślenia. Postanowiłem w ogóle nie wyjeżdżać do wsi, a tylko przyjmować na miejscu. W Jaworowie lekarz powiatowy weterynarii Fedorowski oświadczył mi, że sam już o tym myślał i już nie wyjeżdża w teren, a tylko jego zastępca Ukrainiec (nie będący nacjonalistą). Poza tym proponował mi, ażebym zajmował się tylko pracą, zwierzętami folksdojczów i żył z folksdojczami w dobrej komitywie, co też i robiłem.

W miesiącu marcu, w sobotę, wyjechałem z folksdojczami do Jaworowa; zawsze jechali po kilku na wozie, z bronią. Wieczorem spotkałem się jak zwykle ze Stanisławem Krasickim i swoimi towarzyszami broni. W Ożomli pozostała żona, jej siostra Maria i mała Teresa (córka); obydwaj synowie byli w Jaworowie u dziadków. Po wieczornej naradzie ze swoimi i wydaniu pewnych zaleceń przenocowałem w domu i postanowiłem jechać po południu w poniedziałek do Ożomli furmankami, które wracają z targu. W poniedziałek około godziny dziesiątej wyszedłem z domu na rynek (plac targowy) upatrzyć podwodę z Ożomli. W tym czasie spotkał mnie listonosz z Ożomli, który przyjechał swoimi końmi z pocztą i po pocztę. Listonosz (nazwiska nie pamiętam) wezwał mnie na bok i cicho mi powiedział: Panie doktor (tak mnie tytułowano), wasza żinka kazała, użebyśty zaraz przyjechały i zabrały ich do domu, bo buw napad na nych. W tym momencie struchlałem, co zauważył listonosz i powiedział mi, że wszyscy żyją i są zdrowi, ponieważ folksdojcze odpędzili batiarów (listonosz nie był nacjonalistą). W tej chwili wróciłem do domu, opowiedziałem teściowi, który natychmiast zamówił dwie furmanki sąsiadów. Około godziny trzynastej byłem z furmankami już w Ożomli, gdzie zastałem żonę i jej siostrę wystraszone oraz jedną furmankę już naładowaną sprzętem domowym, pościelą i żywnością. Załadowałem w pośpiechu szafy od lekarstw i co należało do punktu weterynaryjnego. W tym czasie przyszedł folksdojcz od Siedlungsführera (sołtysa) z zapytaniem, czy dać mi eskortę do samego Jaworowa. Po namyśle odpowiedziałem, że jest dzień, to po drodze nie będzie napadu. Obawiałem się, że w razie napadu ci z eskorty (sami inwalidzi) mogą nie pomóc a raczej zaszkodzić. Umieściłem dziecko, żonę i jej siostrę w środkowej furmance między sprzętem, tak że byli niewidoczni. Sam usiadłem na tylnej furmance, między workami ze zbożem, trzymając na kolanach stena, parabellum i kilka granatów, które miałem w Ożomli ukryte w schowku pod deską w podłodze. Jak już wspomniałem, droga z Ożomli do Jaworowa prowadzi przez las. Konie biegły prawie kłusem. Każdy szelest krzaków w lesie straszył mnie – myślałem, że już będzie napad. Jazda ciągnęła się w nieskończoność. Kiedy wyjechaliśmy z lasu, odetchnąłem z ulgą i pomimo tego, że było zimno, padał deszcz ze śniegiem, było mi gorąco. Do Jaworowa przyjechaliśmy szczęśliwie. Zorientowałem się, że bandy ukraińskie są na tropie naszej organizacji i grozi, tak mnie jak i mojej rodzinie, niebezpieczeństwo. Uratowanie mojej rodziny od śmierci zawdzięczamy Oldze, tej właśnie kobiecie, u której byłem na weselu; po raz drugi uratowała nas od śmierci. Krytycznej nocy z niedzieli na poniedziałek banderowcy przyszli zamordować jej szwagra, Polaka Józefa Zydronia, z zawodu podoficera strażackiego we Lwowie. Ożenił się z jej siostrą Anną. W czasie okupacji zamieszkał u teściów, lecz z powodu ciasnoty przydzielono mu mieszkanie w pałacu hrabiny Czosnowskiej – jako stróżowi. Pałac znajdował się w dużym parku, półtora kilometra od Ożomli. Banderowcy dobijali się do drzwi, a kiedy im nie otworzono, zaczęli je wyłamywać. Zydroń zorientował się, że to napad i uciekając wyskoczył przez okno. Z chwilą kiedy zdążył uciec, otworzono banderowcom, którzy zapytali, gdzie jest Zydroń i dlaczego im nie otworzono. Kobiety odpowiedziały, że bały się złodziei, a Zydronia nie ma, ponieważ pojechał do Lwowa, do matki. W czasie szukania po izbach jeden z banderowców powiedział: Prędko, bo idziemy do Paleja. Kobietom nic nie zrobiono, bo były Ukrainkami. Gdy banderowcy poszli w kierunku szosy, Olga na przełaj pobiegła do Małej Ożomli i dała znać o wszystkim folksdojczom, którzy pełnili wartę. Banderowcy poszli okrężną drogą, omijając Małą Ożomlę i około pół-

nocy zaczęli dobijać się do klas na dole, wyłamując drzwi do weterynaryjnego punktu.

Na trzeci dzień, razem z Hawliczkiem, wyjechaliśmy z powrotem do Jaworowa. W Przeworsku, w czasie wsiadania do przepełnionego pociągu, otrzymałem parę mocnych pałek od Niemca, że o mało nie spadłem ze schodków wagonu. Po przybyciu na miejsce skontaktowałem się ze swoimi. Do teściów chodziłem tylko w dzień, na posiłek, a w nocy spałem przy oknach zasłoniętych materacami, ażeby nie rzucono granatu do środka. Miałem przy sobie w skrytce stena oraz parabellum. W tym czasie (daty nie pamiętam – kwiecień lub początek maja) banderowcy napadli w większej liczbie na czysto polską wioskę (kolonia) Pyszówka – 3 km od Krakowca, a 20 km od Jaworowa. Pyszówka to wioska mająca 40 numerów. Najlepiej uzbrojona. Banderowcy napadli od strony Gnojnic, z lasu. W Pyszówce były porobione schrony oraz stanowiska na ckm. W drużynie było tam około trzydziestu ludzi pod dowództwem plutonowego rezerwy Józefa Marka, który pełnił funkcję instruktora kontaktowego w Powiatowej Komendzie Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Cała młodzież należała do organizacji Strzelca. Banderowcy wieczorem podeszli pod wioskę i otworzyli ogień z karabinów, na co obrońcy odpowiedzieli też ogniem. Rozpoczęła się walka, która trwała ze trzy godziny. Ludność była zgrupowana w schronach, a wszyscy mężczyźni na stanowiskach. Ogień stawał się coraz większy. W Krakowcu powstał popłoch. Orientowano się, że to napad na Pyszówkę; kilku osobom udało się biegiem przybyć do Krakowca w celu powiadomienia o napadzie. W tym czasie w Krakowcu kwaterował (dokładnie podaję) Transportregiment Nr 327 (wojsko było w pogotowiu). Proboszcz parafii Krakowiec ks. Łabno po prostu błagał w tym czasie dowódcę tej jednostki o pomoc, jednak ten odmówił: Wir haben keinen Befehl[2]. Pyszówka płonie, kobiety i dzieci biegną przez pola i jest ich już coraz więcej w Krakowcu. Wszystko wystraszone, płacz i lament. Na podkreślenie zasługuje to, że dowódca plutonu Krakowiec, sierżant zawodowy Roman Tworzydło, przybył z około dwudziestoma ludźmi na pomoc. Jemu należy zawdzięczać, że nie wymordowano więcej ludzi. Banderowcy widocznie zorientowali się, że przyszła duża pomoc, wobec czego wycofali się. Ze względu na to, że Pyszówka to wieś murowana i budynki w 90% kryte dachówką, a zabudowa nie jest zagęszczona, zostało spalonych tylko kilka budynków. Straty w ludziach: pięciu zabitych, w tym dowódca drużyny Józef Marek i jego brat; było też kilku rannych. Z ludności cywilnej prawdopodobnie nikt nie zginął ani nie został ranny. Jak wynikało z meldunku sierż. Romana Tworzydły, banderowcy ponieśli bardzo duże straty – około dwudziestu zabitych i tylu rannych. Był to jeden z największych napadów banderowskich na terenie powiatu Jaworów. Niemcy w ogóle nie prowadzili żadnych dochodzeń w tej sprawie, jednak po napadzie byli na drugi dzień w Pyszówce i radzili ludziom, aby wyjechali; i tak też się stało. Roman Tworzydło obecnie mieszka w województwie krakowskim, skąd pochodzi, lecz zapomniałem nazwy miejscowości. Był to bardzo odważny i bardzo dobry dowódca plutonu Krakowiec. Do rejonu działania tego plutonu należały: Pyszówka, Lubieniec i Wola Gnojnicka; w tych dwóch ostatnich dużych wsiach wpływy mieli ludowcy i Wici. Po napadzie na Pyszówkę, w Rogożnie, czysto ukraińskiej wsi oddalonej o 6 km, miejscowy proboszcz greckokatolicki, Ukrainiec, w niedzielę z ambony napiętnował bratobójcze morderstwa dokonane przez banderowców. Tej samej nocy banderowcy zamordowali go wraz z żoną i córką. Po napadzie na Pyszówkę Ukraińcy pokusili się o polską wieś Lipiny – 10 km na zachód od Jaworowa. Lipiny liczące 40 numerów, piękna nowa wieś (kolonia). Dowódcą dobrze uzbrojonego oddziału był tam podoficer rezerwy Władysław Ostrowski. W nocy (daty nie pamiętam) banderowcy w sile około pięćdziesięciu ludzi podeszli pod same zabudowania. Na krzyk i bicie w gong przez pełniących wartę Polaków banderowcy oddali kilkadziesiąt strzałów. Napadnięci otworzyli silny ogień z karabinów i rzucili granaty. Napastnicy padli na ziemię i również rzucili kilka granatów. W trakcie strzelaniny banderowcy wyczołgali się do tyłu. Zaznaczam, że starcy, kobiety i dzieci od kilku dni nocowali w kościele. Na drugi dzień mieszkańcy Lipin wraz z dobytkiem wyjechali do Jaworowa i po dwóch dniach za San. W czasie wyjazdu na drodze z boku ostrzelano ich, na co ewakuujący się odpowiedzieli strzałami. Strat żadnych Polacy nie ponieśli. O całym napadzie na Lipiny opowiedział Stanisławowi Krasickiemu i mnie sam Władysław Ostrowski oraz inni. Co się stało z bronią, amunicją, nie wiem. Prawdopodobnie zabrali z sobą.

Cdn.

---

[2] Wir haben keinen Befehl *niem*. Nie mamy rozkazu.

ŻYCIE STOWARZYSZENIA

Festiwal Dobrego Wojaka Szwejka w Krakowie



Krakowski Mały Rynek – w dniach 6 i 7 października br. – był dla krakowian, a zwłaszcza dla naszego środowiska Przyjaciół i Sympatyków Przemyśla (także Kresów), miejscem niezwykłych wydarzeń. Oto bowiem przemyska grupa pasjonatów tworząca „Przemyskie Stowarzyszenie Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka" pod dowództwem Prezesa **Jerzego Czuchmana**, przy współudziale **Leszka Mazana** i przy wsparciu przemyskiego Teatru „Fredreum" prowadzonego niestrudzenie przez **Krystynę Maresch-Knapik** *(znanej już naszym czytelnikom - vide QL nr 09)*, zaprezentowała dwa krótkie przedstawienia. W sobotę, 6-go października ujrzeliśmy „Sąd nad Szwejkiem" *(w obsadzie: Krzysztof Knapek, Maciej Hołyszko, Lucjan Szaganiec, Paweł Ślimak i Tomasz Kierepka)*, w niedzielę zaś jednoaktówkę Antoniego Czechowa „Oświadczyny" *(w obsadzie: Andżelika Dutkowska, Maciej Hołyszko, Paweł Ślimak)*. Reż. Krystyna Maresch-Knapek.



Prezentacje te będą niewątpliwie zachętą do odwiedzin Przemyśla, do spotkania z legendarnym teatrem „Fredreum", w szczególności zaś do poznania Fortecy Przemyśl, którą tak znakomicie prezentują ludzie obdarzeni nie tylko pasją ukierunkowaną na ochronę tego zabytku, ale także z poczuciem humoru. Przy pomocy Dobrego Wojaka Szwejka tworzą wyjątkowy klimat, pozwalający na pełny relaks, radość poznawania i przeświadczenie, że można uchronić się – jak mówił Szwejk – przed „bałwanieniem do kwadratu".

Penetrując przemyskie szlaki Dobrego Wojaka Szwejka warto zaopatrzyć się w starannie wydany „Przewodnik szlakiem przygód dobrego wojaka w Twierdzy Przemyśl," autorstwa również pasjonata, Dariusza Hopa.







sobota, 06.10.2012























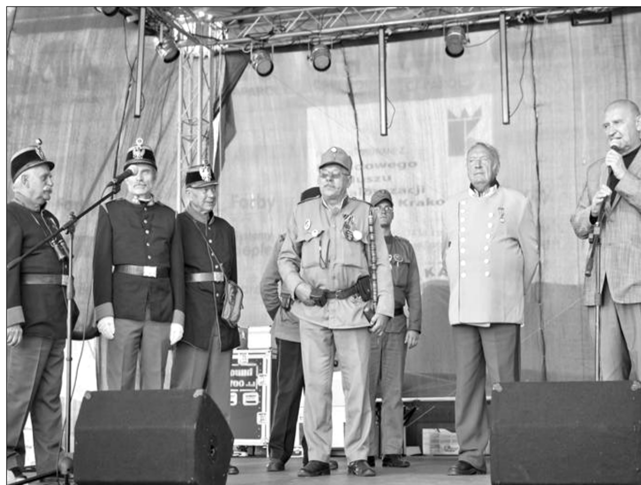

fot. Alicja Strugała




fot. Alicja Strugała




fot. Alicja Strugała




fot. Alicja Strugała


fot. Alicja Strugała


fot. Alicja Strugała


fot. Alicja Strugała


fot. Alicja Strugała


fot. Alicja Strugała


fot. Alicja Strugała



fot. Alicja Strugała


fot. Alicja Strugała


fot. Alicja Strugała

n i e d z i e l a , 0 7 . 1 0 . 2 0 1 2







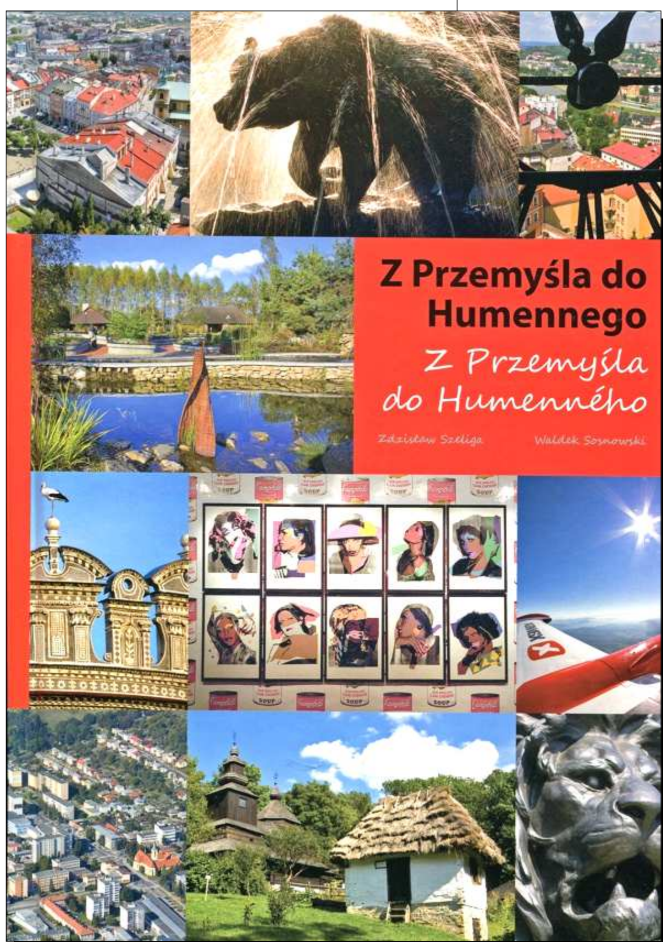




PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

Na naszej półce znalazło się dzisiaj sporo interesujących wydawnictw, które otrzymała redakcja QL.

Ich przegląd rozpocznijmy od pięknie wydanego albumu autorstwa **Zdzisława Szeligi** (tekst i koncepcja książki) oraz **Waldka Sosnowskiego** (fotografie i opracowanie graficzne), ***Z Przemyśla do Humennego.*** Wydawca: **Starostwo Powiatowe w Przemyślu.**



Poznajemy piękno ziemi przemyskiej i preszowskiej – turystyka przygraniczna polsko-słowacka. Projekt współfinansowany przez Unię Europejską z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego oraz budżetu państwa za pośrednictwem Euroregionu Karpackiego w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Rzeczpospolita Polska – Republika Słowacka 2007-2013.

Czytamy: „Turyści odwiedzający Przemyśl mają zazwyczaj zaplanowane dwa kierunki: Bieszczady albo Lwów." Autorzy proponują trasę turystyczną na Słowację – do Humennego i okolic. Znajdziemy tutaj najpierw krótkie informacje o Przemyślu – jego historii oraz atrakcjach turystycznych, a także o godnych zwiedzenia miejscach znajdujących się w bliższych i dalszych okolicach miasta. Jest tu mowa o twierdzy Przemyśl, arboretum w Bolestraszycach, Kalwarii Pacławskiej, zamku i parku w Krasiczynie, najstarszej w Polsce murowanej cerkwi obronnej w Posadzie Rybotyckiej, ruinach klasztoru karmelitów bosych w Zagórzu. Po drodze możemy podziwiać piękną przyrodę, m.in. osobliwości flory i fauny. Humenne (w kraju preszowskim) liczy 35,5 tys. mieszkańców. Dominuje tu współczesna zabudowa, ale jest też pałac z początków XVII w. oraz gotycki kościół. Warto odwiedzić skansen, w którym zobaczymy łemkowską cerkiewkę z połowy XVIII w., drewniane domy, zabudowania gospodarcze, warsztaty rzemieślnicze, drewniane rzeźby ludowe. Na dworcu kolejowym w Humennem można przystanąć przy pomniku wojaka Szwejka i porównać go z tym, który znamy z przemyskiego rynku. Mieszkańcy słowackiego miasta dumni są z hali sportowej i krytego lodowiska. Humenne stanowi bazę wypadową do wycieczek w karpackie pasmo Wyhorlat i Góry Bukowskie. W okolicach Humennego warto zobaczyć ruiny zamków, zalew Zemplinska Sirava, lotnisko sportowe. W miejscowości Medzilaborce znajduje się pomnik i muzeum Andy Warhola – znanego amerykańskiego artysty-plastyka, którego rodzice pochodzili z północnej Słowacji.

Ważnym elementem omawianego wydawnictwa jest mapa powiatu przemyskiego, na której zaznaczono miejsca atrakcyjne turystycznie.

Dodajmy, że zarówno tytuł jak i tekst książki jest dwujęzyczny: polski i słowacki.

Na specjalne podkreślenie zasługują piękne, niebanalne zdjęcia, które współgrają z tekstem i tym bardziej zachęcają do odwiedzenia miejsc opisanych w książce.

Wyrażamy słowa uznania dla autorów (**Zdzisława Szeligi** i **Waldka Sosnowskiego**) za przygotowanie tego albumu, a dla **Starostwa Powiatowego w Przemyślu** za jego wydanie.

<<< >>>

Przed nami leży kilkanaście numerów pisma ***Ziemia Przemyska.* Czasopismo samorządowe.** Wydawca: **Starostwo Powiatowe w Przemyślu.** Wydział Rozwoju Gospodarczego, Edukacji, Kultury i Promocji. Redaktor naczelny **Zdzisław Szeliga**.

Nr 1 ukazał się w 2002 r. Czasopismo porusza problemy gospodarcze, społeczne, kulturalne, oświatowe powiatu przemyskiego. Zamieszcza m.in. wiersze i reprodukcje prac plastycznych twórców związanych z Przemyślem, a także zdjęcia ukazujące piękno ziemi przemyskiej. W nrze 1 (17) z 2012 roku. możemy przeczytać o nagrodzie Zarządu Województwa Podkarpackiego dla redakcji „Rocznika Przemyskiego", który jest wydawany od stu lat przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Przemyślu.

W innym numerze – sylwetka ostatniego przed wojną starosty przemyskiego Adama Remiszewskiego. Trudno przedstawić w tym miejscu dokładniej zawartość wielu numerów „Ziemi Przemyskiej”. Chwała zespołowi redakcyjnemu na czele z **red. Zdzisławem Szeligą** oraz **Starostwu Powiatowemu w Przemyślu** za wydawanie tego periodyku.

<<< >>>

I wreszcie – zasygnalizujmy ukazanie się nru 2 (25) z 2012 r. kwartalnika ***Przemyski Przegląd Kulturalny***, wydawanego przez **Przemyską Bibliotekę Publiczną im. Ignacego Krasickiego**. Już okładka zapowiada obecność węgierskiej tematyki w tym numerze czasopisma. Znajdziemy w nim również m.in. – interesującą rozmowę z polskim ambasadorem w Mołdawii, a także artykuł o Stefanie Grabińskim (1887-1936) – związanym w pewnym okresie życia z Przemyślem autorze opowiadań grozy i fantastyki.

Warto sięgnąć do tych omówionych powyżej wydawnictw, aby dowiedzieć się wielu interesujących rzeczy i obejrzeć piękne zdjęcia towarzyszące tekstom.

Mariusz Frodyma

W numerze

WYSZEHRAD

- *Halina Leskiw* – **Między tokajem a Tokajem**
- *TomášTichák* – **Osobistości nad Bodrogiem, czyli zempleńskie spostrzeżenia**
- *Zita Chalupoya* – **Wspomnienia z odurzającej podróży**
- *Janusz Polaczek* – **Winno-slodki wymiar polsko-węgierskiego braterstwa, czyli w jaki sposób polityką można się odurzyć**
- *Tadeusz Nuckowski* – **Tokaj, Horkay i bikaver**
- *Juraj Buzalka* – **Naród i religia we współczesnej Europie Środkowej**
- *Juraj Buzalka* – **Słowacka ślepota i węgierski kompleks**
- **Fotografie: Tokaj, 8-11 czerwca 2012**
- *Zdzisław Szeliga* – **Dezső Kosztolanyi, *Ptaszyna***
- *Zdzisław Szeliga* – **Spacerki osobiste: Demony sławy**

EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA I POŁUDNIOWA

- *Jerzy Komorowski* – **Z zachodu na wschód – obrazki z podróży**
- **Czy Mołdawianie są Rumunami? Rozmowa z Bogumiłem Luftem, ambasadorem RP w Republice Mołdawii**
- **Fotografie: Mołdawia, 28 kwietnia-5 maja 2012**

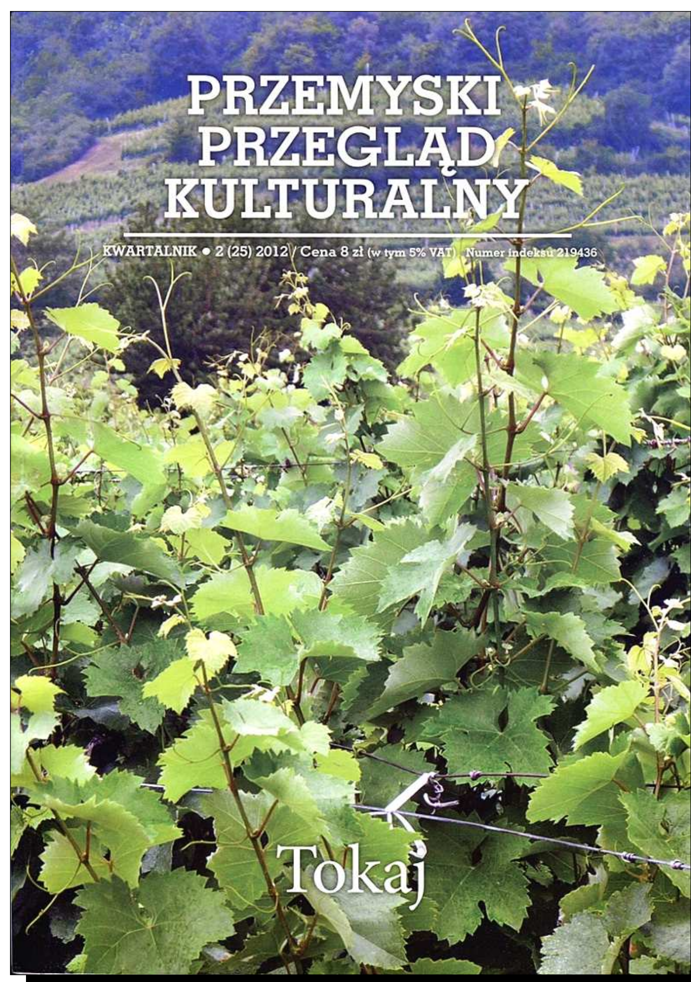
LITERATURA

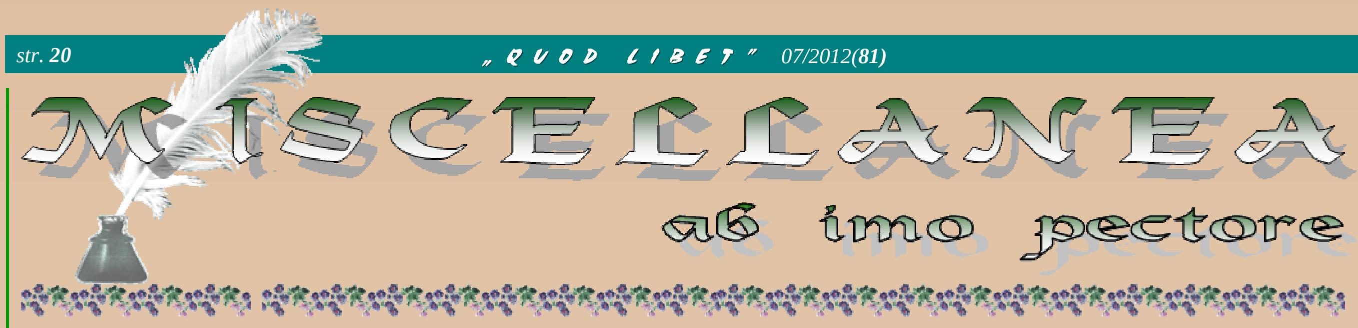
- *Krzysztof Bortnik* – **Niedoceniony fantasta. O Stefanie Grabińskim i jego opowiadaniach**

PŁYTY

- *Piotr Bałajan* – **The Hives, Volbeat**

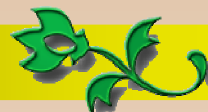
ODNOTOWANO





Zenon Rogala

SZCZĘŚCIE



Kiedy otwierałem dziś z rana drzwi, przesuwane wzdłuż ich płaszczyzny, te wiodące na taras domu, i owiał mnie ożywczy wiatr z zewnątrz, to uczucie jakiego doznałem w tamtym momencie, śmiało i z małym prawdopodobieństwem błędu, mogę nazwać szczęściem. Otwierałem te drzwi dziesiątki razy, ale dziś, jakoś właśnie dziś, w tej właśnie chwili, doznałem tego uczucia. Jakie kryteria zewnętrzne, a jakie wewnętrzne, musiały zostać spełnione, że to najbardziej osobiste uczucie – odczucie – stan wewnętrznego ładu, – to „coś” – spadło na mnie tak nagle, a najważniejsze, że niespodziewanie. Mógłbym nazwać to stanem harmonii, jakimś ładem i porządkiem, odczuciem wewnętrznego pogodzenia się w dotychczasowych sprzecznościach, między bodźcami zewnętrznymi a wewnętrznymi, które jak na niektórych wykresach, osiągnęły w tym samym momencie punkt kulminacyjny. Więc mam poczucie pełnego komfortu – i fizycznego, i psychicznego, czuję się więc dziwnie bezpieczny i właściwie mógłbym zakończyć całość tych myśli związanych z definicją szczęścia i wreszcie w pełni i na oścież przesunąć te drzwi, ale…

Ale jest to tak indywidualna relacja, tak osobista ocena, tak odrębna kategoria osobistych doznań, że nikt, ale to nikt, nie jest w stanie ustalić wspólnej ludziom definicji szczęścia. I każdy ma, przydane przez naturę i nasze powinowactwo kosmiczne, prawo do indywidualnego rozróżniania tego najbardziej poszukiwanego i oczekiwanego stanu naszej psychiki.

Szczęście, często mylnie utożsamiane z satysfakcją seksualną, wynika z tego, że podobnie jak w seksie, świadomość szczęścia przychodzi niespodziewanie, spada na nas nagle i pozostawia nas w zachwycie na przeciąg niezależnego od nas czasu. Nikt nie jest w stanie przedłużyć w sposób sztuczny tego odczucia – uczucia –wrażenia – doznania – szczęścia. I tego w seksie, i tego w czasie otwierania przesuwanych drzwi do mego tarasu.

Ilu ludzi i ile psychik, tyle indywidualnych odcisków palca szczęścia. Częstokroć te odciski są do siebie uderzająco podobne, ale zawsze znajdzie się jakiś drobny szczegół, który je różni.

I nawet teraz, kiedy stoję w już otwartych drzwiach, kiedy minęła już ta błyskawiczna powyższa myśl, wiem, i to jest pewne, że już nigdy, kiedy będę otwierał te wiodące na taras drzwi, przesuwane wzdłuż ich płaszczyzny, nie doznam tego, co śmiało i z małym prawdopodobieństwem błędu mogłem nazwać szczęściem.

NIE... TAK...



Jak możesz mnie tak traktować, jak możesz patrzeć na moją sytuację bez wzruszenia i współczucia, jak ci nie wstyd, że doprowadziłeś do sytuacji już właściwie bez wyjścia, już teraz nikt ani tobie ani mnie nie zaufa, nikogo nie wzruszy twoja pokorna mina i te okrągłe jak otoczaki słowa – kamienie, nie będziesz funkcjonował, bo sam pozbawiłeś się prawa zwracania się do kogokolwiek, już nie mówię o pomoc, bo tej już nikt ci nie udzieli, ale nawet o zwykłą ludzką ciekawość drugiego, tym postępowaniem zamknąłeś całkowicie dostęp i dla siebie, i dla mnie do świata ludzi, nie wiem jak ty, ale ja na pewno nie znajdę tyle siły, aby przemóc w sobie ten wstręt, jaki czuję do ciebie, a przez to również do siebie, żeby przełamać ten opór i znów zaistnieć, nie wiem czy już kiedykolwiek dojdę do równowagi, teraz najważniejszy jest dla mnie spokój i ta cisza, która być może przyniesie ukojenie i powrót do świata...

W najczarniejszych scenariuszach nie przewidywałam, że tak potoczą się losy naszego związku, że tak mnie oszukasz, że odsłonisz swoją dotychczas niewidoczną i tak sprytnie skrywaną twarz, nie sądziłam, że będziesz tak małostkowy i podły, aby to co kiedyś nie było żadnym problemem, dziś stało się nierozwiązywalne...

Podłość to za mało, pogarda, lekceważenie, nicość, zero - ale zero, też mało, chyba, że zero bezwzględne - minus dwieście pięćdziesiąt dwa stopnie...

Czy ty wiesz, o czym ja mówię?

- Nie.

- Najlepiej zrzucić z siebie odpowiedzialność, najwygodniej udawać, że to nie twoja wina, że może znajdę kiedyś w przyszłości w sobie tę resztkę siły i uczucia, i po jakimś czasie, gdzieś na świecie – lub inaczej – w naszych oddzielnych za chwilę światach pojawi się szansa, cień szansy, że zechcę wrócić na tę stronę ulicy, po której akurat przypadkowo będziesz się przechadzał z tym twoim nonszalanckim uśmieszkiem, tą ironią i wyższością, jaką zdobywasz uznanie u wszystkich, ale nie łudź się, na to jest już za późno, nie znajdę w sobie tyle siły i pogardy dla samej siebie, żeby choć zerknąć w twoją stronę, nie łudź się, bo jeśli nawet, załóżmy tylko teoretycznie, że taka okoliczność się zdarzy, ale jeśli nawet w najmniej teoretycznych założeniach taka okoliczność mogłaby zaistnieć, to wiedz, że nigdy nie wybaczyłabym sobie stanu tak dalekiego nieposzanowania swojej osoby, już doznałam od ciebie tyle upokorzenia, że sama już zatracam granicę swojego poczucia godności, tracę też nadzieję, że mogłabym nie ulec, gdyby z twojej strony zdarzył się… nie wiem… gest, drobiazg, jakaś przypadkowa iskra, może nawet zamierzony i pozornie subiektywny wyraz zainteresowania mną... nami... naszą przeszłością i ewentualnie nawet przyszłością...

Czy ty wiesz, o czym ja mówię?

- Tak.



RANDKA

Odczuwałem dziwny chłód. Przecież nie było wiatru, a ranek wydawał się całkiem pogodny. Przestrzeń ogromnego tarasu, wygoda ogrodowego sprzętu, estetyczny ład na blacie stołu – nic nie mogło być powodem chłodu, a jednak... Był to raczej chłód wewnętrzny, nie umiem dokładnie określić źródła tego stanu, ale tak to czułem. Najpewniej to spięcie i stan oczekiwania, dodatkowo wzmocniony niepewnością i poczuciem... niczym nieusprawiedliwionego zakłopotania; ten stan nazywam chłodem. Dodatkowo napięcie spowodowane oczekiwaniem na spotkanie z tobą, może świadomość i niepokój, ile zależy od tego, co za chwilę nastąpi. Tak, to raczej chłód wynikający z niepokoju wziętego z oczekiwania na niewiadomą, a raczej obawa, czy to, co nastąpi, będzie powtórzeniem tego, co już jest mi znane i oczekiwane. Tyle bowiem razy byłem już w takiej sytuacji, tyle już razy przeżywałem takie jak ta chwile, a jakoś szczególnie dzisiaj, nie wiedzieć czemu, jestem świadomy jakiegoś nowego, innego, wewnętrznego stanu ducha.

Wszystkie dotychczasowe nasze spotkania przebiegały według, co prawda nieświadomie, ale obustronnie zatwierdzonego, schematu. Zawsze byłaś gotowa do swej służebnej roli, wiedziałem, że zawsze spełnisz moje najbardziej wyrafinowane oczekiwania. I choć nic nie wskazywało, że dzisiaj mogłoby być inaczej, jakiś ten podświadomy lęk zakłócał czas oczekiwania na ciebie. A przecież moje oczekiwania nie zmieniły się; ba, wydawało mi się, że weszły w okres najwyższych wymagań w naszych wzajemnych stosunkach. Liczyłem wszakże, że po tylu latach obcowania ze sobą, mogę oczekiwać na coś więcej. Każdy, nawet najbardziej udany związek, dla swej trwałości winien przejść czas podwyższonej próby. Może właśnie taki czas nadszedł dla nas. Póki co, siedzę przed tobą i wpatruję się w twe ciemne, tajemnicze oblicze. Zewnętrznie nie zmieniłaś się prawie wcale. Cała twoja osobowość, której poznanie polega na smakowaniu twego wnętrza, na zagłębieniu się w twej otchłani i – mówiąc najbardziej górnolotnie – na przeniknięciu w ciebie, na wzajemnym przeniknięciu naszych wrażliwości, na wypełnieniu wzajemnych swoich oczekiwań.

Zaślepiony ogromnym zaufaniem, jakim darzę cię od chwili poznania, nawet nie przypuszczałem, że może nadejść moment takiej refleksji i zwątpienia. Jeszcze wczoraj, kiedy cieszyłem się twoim uwodzicielskim czarem, zapachem, finezją, nie sądziłem, że dziś będę miał jakiekolwiek wątpliwości. Wiem, że we wzajemnych relacjach i ty masz wiele do powiedzenia, że obcując ze mną tyle czasu, masz takie samo prawo oczekiwać ode mnie wzajemności. Ale dzisiaj stało się coś złego. Coś niedookreślonego stanęło między nami. Szczerze mówiąc, obawiam się o nasze przyszłe relacje. Spoglądasz na mnie wzrokiem spokojnym i pewnym siebie, i trochę zuchwałym. Tak... racja, masz nade mną przewagę – i to sporą. Przewagę wieku, powodzenia, wręcz podniecającego rozchwytywania. Nie powstrzymam cię przed zachłannością i wręcz pożądliwością innych. Nie mam prawa zabraniać ci odbierania dowodów uwielbienia od innych. Wiem też, że nie zatrzymam cię tylko i wyłącznie dla siebie. Dzisiaj na nowo ustalimy zasady obowiązujące między mami. Jestem gotów do ustępstw, ale i od ciebie oczekuję więcej tolerancji, więcej wyrozumiałości dla mego wieku i – co tu dużo mówić – możliwości. Już nie jestem ten sprzed lat, który mógł w każdej chwili sprostać twoim wymaganiom. W daleką przeszłość odeszły te momenty, kiedy bez względu na porę dnia czy nocy, mogłem cieszyć się twoim powabem, wyrafinowaniem i delikatnością. Niekiedy byłaś przyczyną moich bezsennych nocy, ale zawsze trafiałaś w moje oczekiwania. Twój sens istnienia potwierdzał w całej rozciągłości moje wobec ciebie oczekiwania.

Tak było do wczoraj...

Ale już dziś...

I choć jak zawsze kusisz mnie swoim wysmakowanym kunsztem i wabisz do siebie cała perwersyjną osobowością, jest we mnie coś, co napawa mnie wobec ciebie tym przedziwnym, od rana odczuwanym chłodem. Wiem, ile ci zawdzięczam doznań i chwil szczęścia, wiem, że to ja uganiałem się dotąd za tobą, całkiem zresztą skutecznie; i że to dla mnie będzie większą stratą, kiedy chłód zapanuje między nami.

Patrzę na ciebie z zachwytem, ale równocześnie z niepokojem. Jesteś jak co dzień obok mnie, jak co dzień kusisz, wabisz i podniecasz. Czy możliwe będzie życie bez ciebie, czy moje życie będzie miało jeszcze sens, jeśli odejdziesz. Te fundamentalne pytania muszą być postawione. Ale ważniejsze jest to, że odpowiedzi na te pytania muszą być wypowiedziane.

Zatem, co jest ważniejsze – pytanie czy odpowiedź? Ten nierozwiązywalny dylemat jest jak samonapędzająca zasada wiedzy, jej fundament, bowiem każda odpowiedź daje powód do następnego pytania.

Poczułem ciepło dłoni na ramieniu:

- Dzisiaj zrobiłam ci taką jak zawsze, ale przypominam ci także to, co powiedział lekarz o twoim ciśnieniu i o konieczności pożegnania się z kawą – głos Iwony był jak zwykle łagodny i pełen troski.

SONET



Kocha? Nie kocha!

Cztery zwrotki. W dwóch pierwszych – po cztery wersy. W dwóch następnych – po trzy wersy. Oto przepis na każdy sonet. Ale co ma być w tych wersach, czyli mówiąc niefachowo, linijkach? Tego w przepisie na sonet zabrakło. Więc chcąc napisać sonet miłosny, o wątpliwościach serca, które kocha, autor, walczący o laur mistrza skrótu, próbuje tak:

?

?

?

!

Same znaki zapytania, sama wątpliwość, troska, niedowierzanie, męka wątpliwości, więc jak na początek, smutek, choć jest też cień nadziei.

?

?

!

!

Wśród walczących ze sobą przeciwności na razie równowaga, iskierka nadziei w powodzenie zależy od rozwoju uczucia w czasie.

?

!

!

!

Wyraźny zwrot. Przeważa przekonanie, że kocha.

!

!

!

!

Hurra, jednak kocha.

Michał Kozera rysuje







HUMOR ŻYDOWSKI

Chasyd: Pewnego dnia do dworu naszego cadyka zjechało bez uprzedzenia kilkunastu dostojnych mężów. Na wieczerzę przygotowano zaledwie dwa niewielkie karpie. Jednakowoż rabbi wszedł do kuchni, klasnął w dłonie i na półmiskach znalazło się wkrótce pięć, sześć, no, dwanaście ryb!

Mitnaged: Racja. Sam się przekonałem, że cadykowie czynią istne cuda. Raz grałem z jednym sławnym cadykiem w karty. Miałem cztery damy i już myślałem, żem wygrał. Aż tu patrzę – cadyk rozkłada karty i oczom moim objawia się pięć asów…

Chasyd: Ależ to nieprawda! W kartach nie może być więcej nad cztery asy!

Mitnaged: Racja! Opuść coś z ryb, to ja opuszczę coś z asów.

<<< >>>

Chasyd opowiada:

Pewnego dnia cadyk nasz siedział przy wieczerzy piątkowej i spożywał rybę. Nagle widelec wypadł mu z ręki i z ust boskiego męża wyrwał się przeraźliwy okrzyk:

– Gwałtu, Żydzi! Spotkało nas straszne nieszczęście! Kołomyja się pali!...

Biesiadnicy oniemieli ze strachu. Toż to nie bagatela: Kołomyja! Miasto, w którym mieszka, na psa urok, wiele tysięcy Żydów.

Toteż szabas spędziliśmy na modłach i w wielkiej żałobie. A kiedy w poniedziałek rano zawitał do naszego miasta pewien przybysz właśnie z Kołomyji, spytaliśmy pełni niepokoju ile to domów i sklepów spłonęło i czy nikt z Żydów, broń Boże, nie zginął w pożarze.

Przybysz spojrzał na nas ze zdumieniem i powiada, że w mieście Kołmyji nie było żadnego pożaru.

Zrozumcie no dobrze: głupstwo pożar! Ale cóż za wzrok ma nasz cadyk! Wzrok, co sięga z Husiatynia do Kołomyji?!... Policz ile to mil…

<<< >>>

Żyd przychodzi do rabina ze skargą:

– Aj, pomóżcie mi rabbi! Mam ciężkie kłopoty z zięciem! On nie umie pić ani grać w karty.

– No, to przecież dobrze.

– Jak to dobrze?... On nie umie pić i pije. On nie umie grać i gra!

Strona tytułowa: Zofia Kamieńska-Kudła i Czesław Kudła (Stowarzyszenie Przyjaciół Przemyśla w Krakowie) otrzymują z rąk Prezesa Przemyskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka – Jerzego Czuchmana odznaczenie – **„Medal Obrońcy Twierdzy Przemyśl"**

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA
w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, *tel.:* 124113493, 601961488, *e-mail:* czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, *Nr konta:* 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – *red. nacz.*, M. Frodyma. Współpraca: Z. Ostrowski, M. Kozera.

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów. Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.